Rok szkolny 1937/8 zeszyt 7

„Nasze boisko...“



Lwów 1938
Wydawnictwo OO. Dominikanów

ZESZYT WYCHOWANKÓW OO. DOMINIKANÓW W ŻÓŁKWI

„NASZE BOISKO...“

LWÓW 1938
WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW

Wydane na prawach manuskryptu.

Z drukarni Dominikańskiej — Lwów.

Ku wyżynom!

Często młodzieniec patrząc w przyszłość, roi sobie różne świetne plany. Pyta: czym ja będę? co mi da życie? A życie odpowiedzieć może: Masz być szlachetnym i nieprzeciętnym człowiekiem. Masz wzbić się ponad ten szary tłum, utopiony w troskach, planach zbyt ziemskich, a może nawet zbyt niskich. Staje przed tobą wielkie zadanie: masz być człowiekiem z charakterem. Charakter to stałość woli w dobrym kierunku, to nieustępliwe wyznawanie swych dobrych przekonań, to nieustanna praca nad uszlachetnieniem własnej duszy. Człowiek bez zasad, bez charakteru, chwieje się w swym życiu moralnym, jak wiatrem kołysana trzcina! Dziś postępuje tak, jutro inaczej. Jakież zasady mają kierować życiem twoim? „Muszę pracować pilnie i wytrwale, gdyż Bóg żąda ode mnie, bym rozwinął zdolności, którymi mnie obdarzył".

Charakteru zadarmo nie dostaniesz, nie przyleci ci ani z powietrza ani od dobrych ludzi, musisz sam nań zarobić, wytrwałą pracą wielu, wielu lat. Pewnie, że dużo otrzymasz od ludzi, którzy cię wychowują, ale ważniejszym jest to co ty sam zdobędziesz, ważniejszym jest to jak ty sam pracujesz nad sobą. A jeszcze ci powiem żebyś się w pracy nad sobą nie zrażał, jest ona trudna, wymaga wielu ofiar, dlatego mało jest ludzi z charakterem, gdyż mało jest odważnych bohaterów. Wielu może próbowało wytrwać w dobrym, ale gdy przekonali się, że to wymaga poświęcenia, zniechęcali się. Załamali ręce i powiedzieli sobie: nie potrafię. I nie potrafili. Ty, mój przyjacielu, tak nie powiesz. Bóg ukrył ci w duszy pęd ku dobremu, zapragnij więc stać się dobrym, szlachetnym, silnym i czystym człowiekiem; zapragnij i popracuj, zapragnij mówić prawdę i mów. Zapragnij być czystym i bądź. Zapragnij się kształcić i kształć. Zapragnij być dobrym i bądź.

O. J. M.

ZWYCIĘŻAJ!

Zwyciężaj zawsze, a w życiu całym
Idź za promiennym swym ideałem,
Walcz, kochaj, cierp i wierz!
Choć ci pot skropli zmęczone czoło,
Ty siew rozrzucaj serca wokoło,
Ciepło i światło szerz!
Niech cię cierpienie nigdy nie złamie,
Wytrwale podnoś kujące ramię,
Co bije w czynu stal.
I niech cię nigdy wstyd nie przytłoczy,
Że zmarnowałeś swój czas roboczy,
Niech cię nie gnębi żal.
Siebie też umiej zwyciężyć nieraz,
Przeto się staraj zdobywać teraz,
Duszy i serca hart.
Więc się postaraj od maleńkiego,
Cierpieć, pracować dla kraju swego,
Wtenczas coś będziesz wart!

Tomczyk Jan kl. III „b"

Zwyczaje świąt Bożego Narodzenia

Boże Narodzenie to uroczysta noc, kiedy na ziemi całej obchodzi się radosną pamiątkę narodzenia Zbawiciela świata.

W dorocznym obchodzie podobnie, jak ubodzy pasterze, wsłuchujemy się w radosne pienia, a jak trzej Mędrcy-Królowie, spoglądamy z dziwnym uczuciem w tę przedziwną noc, na gwiazdę gorejącą. Z nadejściem tej błogiej i szczęśliwej chwili jakaś nadludzka nadzieja i radość wstępuje w duszę polskiego ludu. Choć niejednemu płyną łzy żalu i boleści, to przecież na wspomnienie Narodzenia Bożej Dzieciny, silne przekonanie wstępuje do serca, że

boleści i krzywdy skończą się kiedyś. Skoro zaś „Bóg się rodzi“ to prawda i sprawiedliwość biorą górę nad złem i tym samym zstępują do nas na ziemię, na ten padół nędzy i niedoli. A jeżeli kto, to my Polacy, po tym Narodzeniu Boga, Króla nieba i ziemi, najwięcej spodziewać się powinniśmy. Bo jeżeli kto cierpiał, stał i stoi wytrwale przy Wierze św., to my Polacy. Czyżby nam ta Mała Dziecina nie udzieliła Swego błogosławieństwa?

Już na kilka dni przed Wigilią wszyscy przygotowują się godnie do tak wielkiego święta. Gospodynie robią zakupy w mieście i porządki w domu. Radość jest wszędzie, chociaż... kieszeń cierpi. Radość płynie z samego nieba promieniem jasności Gwiazdy Betlejemskiej. Dzień ten wyróżnia się od innych świąt nie tylko swoim znaczeniem, ale także i zwyczajami.

Na stół potrzeba przynieść siana, bo przecież Chrystus był na sianie złożony. Ponadto pod stół trzeba dać wielką siekierę, bo dotknięcie jej nogą, zabezpiecza cały rok nogę przed bólem. Dawniej to ojciec nabierał pszenicy z makiem i miodem do drewnianej łyżki i z odpowiednim życzeniem rzucał ją do sufitu. Zostawał tam znak z maku i pszenicy, a wszyscy wyciągali ręce, aby pochwycić ziarnko spadające, chcąc z tego wywnioskować, czy będzie urodzajny rok, czy też nie. Ideał dwunastu potraw, nie zawsze jest osiągany, ale zazwyczaj dużo do tej liczby nie brakuje. W niektórych domach, a szczególnie bogatszych zwyczaje te są „wyplenione“, a na ich miejsce przychodzi choinka, przystrojona łakociami i świecidełkami. Choinka oznacza drzewo krzyża św. Podczas wieczerzy wigilijnej dzielimy się opłatkiem. Przypomina nam to ucztę pierwszych chrześcijan po mszy św.

Bóg się wam rodzi, śpiewają anieli, śpiewa cały naród. Od dumnych fal Bałtyku, aż do niebotycznych Karpat, rozlega się jednozgodne pienie, wychwalające Boga-człowieka.

Tomaszewski Edmund kl. III „b“

Gwara ludu polskiego na Bukowinie

Największe skupienia Polaków w Rumunii są na Bukowinie, gdzie nie ma prawie miejscowości, w której by nie było Polaka a nie brak też i całkowicie polskich osad jak np. Nowy Sołoniec i Plesz. Dotychczas ludność w takich miejscowościach mieszkała sobie spokojnie choć ubogo, bo ciężkie jest jej położenie materialne. Rodzice przyzwyczajają dziecko od małego do pacierza polskiego, uczą polskich pieśni religijnych i piosenek ludowych także polskich. Z niezwykłą dokładnością i miłością, dającą się porównać jedynie do miłości matczynej do dziecka, zachowują wszelkie zwyczaje. Ludzie ci zawsze wyciągali i wyciągają ręce spracowane po polską książkę, aby dowiedzieć się z niej o wielkości, o potędze i chwale tej bliskiej, chociaż dla nich tak dalekiej Ojczyzny. Nie mogą powstrzymać ani radości ani łez, gdy słuchają polskiego kazania lub przemówienia. Gdyby ktoś z Czytelników spotkał któregoś z nich i zapytał: „Słuchaj, dobry człowieku, kim ty właściwie jesteś?“ niezawodnie usłyszałby taką odpowiedź: Dziadek i ojciec mój byli Polokami, bo modlili się po polsku a jo jech (jestem) tym samym, czym i uni byli“. Taką odpowiedź dają nawet dzieci.

Dziś znaleźli się ludzie, którzy temu wszystkiemu zaprzeczają i twierdzą, że górale polscy na Bukowinie są Słowakami czy nawet Czechami, bo ich mowa nie jest podobna do polskiej. Istotnie w dialekcie używanym przez ludność polską tutejszą jest kilka wyrazów słowackich, ale to bynajmniej nie dowodzi, że cała mowa ma być zaraz podobna do słowackiej czy czeskiej. (Czeskiej, bo Czesi wpajali tutejszym Polakom przekonanie, że na Bukowinie mieszkają nie Polacy lecz Słowacy. Jest to bardzo zagadkowe, jeżeli się zważy stosunek Czechów do Słowaków). Zresztą Czytelnicy sami rozsądzą po czyjej stronie leży słuszność, bo dalszą część artykułu będę pisał dialektem polskich górali bukowińskich.

Było już po dziewiątej rano, kiedy się obudziłem. W domu panował spokój. Widocznie wszyscy byli już przy pracy. Po chwili zobaczyłem matkę wracającą z mleczarni. Kiedy wchodziła do pokoju zamknąłem oczy, udając, że śpię, bo okrutnie nie chciało mi się jeszcze wstawać. Ale matka nie podzielała widać mego zdania, bo przelewając mleko do dzbanków zawołała:

— Stowoj usz, bo doprowdy aż wstyd, iże telo spisz! Ja anim drgnął.

— Do niczego byłby z tebie gazda — mówiła dalej — jakby si se tak do dziewiuntyj codnia społ.

Ja znowu nic. Przyjrzała mi się uważnie.

— Żol mi cie budzić, bo może si i zmynczuny takum długum cestum (drogą), ale priecym (przecież) do połednia nie bydziesz społ. Stowoj usz, ciujesz!

A ja rzeczywiście czułem, że już będę musiał wstawać, ale w ostatniej chwili przyszedł mi z pomocą następujący wypadek. Mianowicie jak zwykle przyszła w odwiedziny Kumotra Kacina (Katarzyna).

— Pochwaluny Jezus Chrystus — rzekła od proga.

— Na wieki wieków.

— Zdrowiście?

— Potrochę, a ty cy zdrowa?

— Cwała Bogu nie jech eszcze taka chora.

— Siadoj, co bydziesz stoła pod dźwiriami — powiedziała matka podsuwając jej krzesło.

— Bóg zapłac.

Jest to stała formułka, którą się mówi codziennie przy pierwszych odwiedzinach; za drugim czy trzecim razem powtarza się tylko: „Pochwaluny Jezus Chrystus" i przystępuje się od razu do rzeczy.

Kacina usiadła.

— Widej mosz gościa. A zdrowy? zapytała patrząc na mnie.

— Chwalić Boga zdrowy. Prijechało to wciora zmynczune i spi eszcze.

— Nady naj sie wyspi. Ale ciuła jech, iże Catuna prijechoł zbirać sztajer (podatek). Dobrie, iże jo jech swój zapłaciła, bo może dajum mi usz spokój. Bo co prowda, to prowda, ale tak ciasem człowieka pripieczum, iże se i rady dać ni można.

— Mosz recht. Jo nojlepi wim co to znaczy. A o Czechach nie ciuła si nic?

— Wciora pojechali na Plesze i widej sie im pare ludzi zapisało. Ale czynszko im bydzie wytrimać, bo pleszany okrutnie na Czechów zawziunte. Rozdali też kniżki gazdom, ale uni je spolili. Czechów straśnie to zezłościło i pojechali do Sołuńca. Tam sie im też nie poszczynściło, bo jakisika sołuńcian był akuratnie wtedy na Pleszy i jak to szycko obezrił, poleciol chytro du domu i opowiedzioł chłopom. Chłopi jak uciuli z daleka motor wyszli na ceste z widłami, z kosami i sikierami. Czesi dozrieli to i wrócili się.

— Chwała Bogu, iże choć tam ludzie zmundrieli. Zimnioki usz mosz okopane? Bo za tydziń może prijadum ci goście z Warszawy i trieja eszcze poriundki porobić. Brakuje acy łóżków i pościeli.

— A ty bydziesz miała ich moc?

— Sztyriuch. Powim ci, Kacino, iże sie troche boim, bo nie wiedno jacy to bydum ludzie. Może sie im tu nie bydzie lubieć, a wtedy i im z nami i num z nimi bydzie czynszko żyć. Sami nie wime nawet, jak sie prirychtować. Znowu mum takie prieciucie, iże jak uni num nie pomożum skuńczyć z tymi Czechami, to chima nichto num nie pomoże.

— Tak, tak. Ale treja sie usz bydzie zabirać.

— Siedź eszcze. Jo też ni mum szyckiego skończunego.

— No ale tebie mo chto pomóc, bo mosz synów doma, a mnie chto? — Kazimiera zabrali do wojska, Michoł ledwo chodzi, tak go ta choroba wyjadła. Do tego eszcze ta posucha. W oczach szycko schnie. Trieja iść pomału.

— Myślisz, iże u mnie miód w chałupie. Nady taka bida okrutna, iże jeść ni ma co. Priedtym nie było lepi,

ale wse nie tak źle, bo tego piekła nie było, jakie ci Czesi na seło donieśli. Wier mi, Kacino, iże nawet do kościoła nie chce mi sie chodzić, bo i tam sie wadzum i złościum. Do tego doszło, iże usz sie Boga nie bojum.

— Świnte prowde gwarisz. Zostowioj sie zdrową, usz idem. Kacina wstała z krzesła i podeszła do dzwiri.

— A, byłaby jech zabyła. Ni mugłaby śi mi sapy pożyczyć?

— W siopie wisium, to se weś.

— Bydźcie z Bogiem.

— Z Panem Bogiem.

Kacina poszła. Ja wygramoliłem się z łóżka, zjadłem śniadanie i poszedłem „zimnioki okopować".

S. J. kl. IV b „bukowińczyk"

Kronika Internatu

Dnia 2 września 1937 zjeżdżamy się po wakacjach do Internatu. Prefektem jest O. Jacek Misiuta. Jest wielu nowych wychowanków, którzy powoli zaznajamiają się z Zakładem i „wiarusami".

— — — — — — — — — —

Dnia 14 września odbyła się skromna uroczystość pożegnalna z okazji wyjazdu O. Sadoka Maćkowiaka do Chin. Razem z nim jedzie dwóch Ojców i jeden Brat. Jadą oni, ażeby nieść pochodnię wiary Chrystusowej wśród żółtych Chinczyków. Jadą, ażeby biedne dusze pogańskie skierować ku Jezusowi i Matce Jego. My wychowankowie życzymy Im „Szczęść Boże na nowej placówce".

— — — — — — — — — —

Było to z końcem września. „Pewnego pięknego poranku" wybraliśmy się na wycieczkę do Dzibułek. Wycieczka według zdań niektórych była dość przyjemną. Ale chyba najbardziej dla fanatyków piłki nożnej. Wtedy to „piłka" była w ruchu. „Biedaczka" była tak zegrana, że

dla ochłody kilka razy wpadła do płynącego opodal strumyka. Słońce było już nisko, gdyśmy wyruszyli z powrotem do „domowych pieleszy". Przez następnych kilka dni bolały nas „gnaty" sprawiedliwie.

— — — — — — — — — —

Listopad. Internat opustoszał. Zaledwie kilkunastu wychowanków zostało w Internacie. Reszta wyjechała do domów. Zostali oni wyposażeni przez O. Prefekta w listy. Listy te zepsuły niejednemu z nas humor na przeciąg trzech dni (O. Prefekt donosił w nich o zachowaniu się i list ten należało oddać rodzicom).

— — — — — — — — — —

Wstał pochmurny ranek 11 listopada. Dzień ten cała POLSKA od szmaragdowych wód Bałtyku po niebosiężne szczyty Tatr, od kominów fabrycznych Śląska aż po polskie Wilno czci! 19 lat temu Polska stała się po długiej niewoli znowu Państwem potężnym i niezależnym od nikogo. 19 lat już upłynęło od tej wiekopomnej chwili. Jak zawsze tak i w tym roku uroczyście obchodziła to święto Żółkiew. Po uroczystym nabożeństwie odbyła się defilada przed Płytą Nieznanego Żołnierza. Defiladę odebrał p. pułk. Gierulewicz.

— — — — — — — — — —

Nareście nadszedł grudzień. W niedzielę piątego, zawitał do nas św. Mikołaj. Obszerniejszą relację o jego odwiedzinach zamieścił jego „prywatny sekretarz" na łamach „Naszego Boiska".

— — — — — — — — — —

Dnia 10 grudnia zastępcą O. Prefekta na miejsce Br. Bernarda Gerbera został Br. Józef Hostyński, który rok temu nas opuścił.

— — — — — — — — — —

Tu kończy się nasza przeszłość a zaczyna się teraźniejszość. Przed nami, jako najbliższa przyszłość wyłaniają się świadectwa (z „cwajerami") i tak przez nas ulubione ferie Bożego Narodzenia.

Św. Mikołaj w Internacie

I w tym roku, jak to dawniej czynił, przybył do nas św. Mikołaj — niestety! na piechotę. Przez dwa lata pod rząd przyjeżdżał na wielbłądzie, — w tym roku, czy to z powodu kryzysu (na który się żalił Święty przy końcu wieczoru), czy z innej przyczyny, przybył pieszo. Był on małomówny, (pewnie się zaziębił), starał się ukryć jak tylko mógł swą starość (!) mówiąc zupełnie jak młodzieniec. — Dowcip jego ograniczał się do kilku, ale dosadnych powiedzeń, co wzbudzało zadziwienie i niepewność na sali. Wielki Jałmużnik sypał jednak podarunkami na lewo i prawo. — A dary były różne. Jedne coś warte, a inne mało. Sprytni aniołowie „pobuszowali“ przed tym po szafach i pulpitach i niejeden z obdarowanych ze zdziwieniem zobaczył, że dostał swoje własne buciki, lub książki. Panowie szatani zachowali się wybitnie po szatańsku i napewno o wiele wyprzedzili swych kolegów w piekle. Wojowniczość, uszczypliwy dowcip i satyra, oto co składa się na ich charakterystykę. Bili więc biednych delinkwentów co się dało, rózgą. Nie pytali ani na urząd, ani na wiek, ani na fizjognomię wychowanka. Śmiech na sali podniecał rozpalonych biciem diabłów. Zdarzało się, że któryś z ziemskich pachołków przychodząc po niebiański dar, przeciwstawiał się diabłu. Lecz kończyło się to na ucieczce z pakunkiem i ze wstydem przed niezwyciężoną siłą rózgi piekielnej. Co do Aniołów, to poziom śpiewu i muzyki anielskiej podniósł się w tym roku o jedne skrzypce i dwa jakieś męskie głosy za sceną. Cicho patrzyły niebieskie duchy na rzeź czynioną przez diabłów. Lecz z większą jeszcze uwagą, biegły ich oczy za pakunkami, czy przypadkowo, dla nich nie zabraknie. Przecież zawsze nie będą aniołami, bo za 5 czy 10 minut przyjmą znów na siebie postacie ziemskie. Powoli kosz się opróżniał. Niektórzy z utęsknieniem czekali na oddalenie się Świętego, by móc w spokoju pożywać dary z nieba. Święty przeczuwając snać życzenia swych sług, pożegnał się i

wśród okrótnego wycia diabłów, odjechał. Wkrótce wielki pisk aniołów i wycie diabłów znów się powtórzyło w garderobie. Pewnie Mikołaj-człowiek pastwi się nad swymi sługami, że mu gdzieś zginął jego podarunek. Niezadługo wyszedł, trzymając w ręku potargany nieco podarek, ale z triumfalną miną...

Bronisław K.

Wspomnienia o Prefekcie-Misjonarzu

O. dr Sadok Maćkowiak urodził się w roku 1901 w powiecie rawickim woj. poznańskiego. Do Zakonu Kaznodziejskiego wstąpił w r. 1919. W latach 1923-1925 przebywał na studiach w Collegio Angelico w Rzymie, a następnie w latach 1936-1931 we Fryburgu, gdzie na podstawie dysertacji pt. „Die ethische Beurteilung der Notlüge“ uzyskał stopień doktora teologii. Następnie przybywa do konwentu żółkiewskiego, gdzie prócz pełnienia obowiązków kapłańskich, wygłaszania rekolekcyj w kraju itp., rozwija działalność społeczną i naukową. Od dnia 2 marca 1931 roku został prefektem Internatu dominikańskiego w Żółkwi. Do sierpnia 1937 roku pracując wytrwale, wypełniał ciężkie obowiązki prefekta i wychowawcy młodzieży. Starał się o podniesienie opinii Internatu zarówno w gimnazjum, jak i w sferach obywatelskich. Pracował nad wyrobieniem charakteru swoich wychowanków, oraz nad wyrobieniem wewnętrznym i zewnętrznym przez swoje przemowy i rady dawane na konferencjach. Starał się, ażeby między wychowankami panowała miłość i zgoda braterska, jak w rodzinie. Był zawsze sprawiedliwy i stanowczy.

Jednak musiał nas opuścić, gdyż uczuł w sobie powołanie misjonarskie. Z wdzięczności za jego pracę dla Internatu, wychowankowie urządzili mu skromne ale serdeczne pożegnanie, z okazji wyjazdu do Chin. Przyjął je nasz Misjonarz z wielkim wzruszeniem, które okazał w swoim przemówieniu. Żegnając się ze swym wychowawcą-przy-

jacielem, wychowankowie mieli łzy w oczach pamiętając ile to on dobrego dla nich zdziałał i wiedząc, że się już może nigdy w życiu nie zobaczą...

Za tyle prac poświęconych dla Internatu wdzięczni wychowankowie modlą się, aby Bóg Mu pobłogosławił na niwie misyjnej.

Martyniuk Kazimierz kl. IV „a"



Nasi misjonarze chińscy
O. Łukasz, O. dr Sadok, O. Cyryl

List naszego Misjonarza

CONTE BIANCAMANO *dnia 6 listopada 1937*
z nad wyspy Sumatra

Znajdujemy się w tej chwili w niewielkim już oddaleniu od ostatniego przystanku przed Hong Kongiem, Singapore, dokąd przybędziemy jutro około południa. Zegar wskazuje godzinę 2.30 po poł., w Polsce jest teraz godzina 8.30, posunęliśmy bowiem już zegarki o całe sześć godzin naprzód. Jak dotąd, wszystko się składa doskonale. Do Genui przybyliśmy dość szybko, skąd po załatwieniu formalności w porcie i zwiedzeniu miasta wyruszyliśmy dnia 20. X. w naszą podróż morską, która jeszcze będzie trwała sześć pełnych dni. Już tęsknimy trochę za lądem, by nareszcie stanąć na twardym gruncie. Sama jednak podróż dała nam dużo ciekawych wrażeń. Oto niektóre z nich: Było to w czwartek, 21. X. około godz. 10-tej przed południem, kiedy nasz kolos zbliżał się do portu w Neapolu, ujrzeliśmy ogromną chmurę dymu czarnego powyżej Neapolu, to Wezuwiusz czynny napełnia lękiem okoliczne wioski i miasteczka. Postój w porcie trwał przeszło cztery godziny. Zaczęliśmy powoli przyglądać się naszym współpasażerom, jest ich wszystkich ponad 1000. A więc jadą przedstawiciele wszystkich nieomal ras i kolorów, są najpierw Europejczycy (początkowo najliczniejsi), dużo jest Murzynów i Hindusów, nie brak też Chińczyków i Japończyków. Dość liczną grupę stanowią księża i zakonnice. W Neapolu przybyło kilku misjonarzy jezuitów wraz z ks. biskupem Severin, którzy wszyscy jadą do Bombaju, a potem dalej w głąb Indyj: Wsiadł w Neapolu także O. Exprowincjał prowincji rzymskiej, O. Fanfani O. P., zdążając również do Bombaju, a stamtąd do Multan celem zwiedzenia misji dominikańskich w Indiach. Powoli życie układa się mile i sympatycznie. Jedzie z nami także kapelan okrętu, serdeczny nasz przyjaciel od samego początku, Don Carlo Mambretti z Mediolanu. Najważniejsze, że i Polonia nasza się nieźle przedstawia. Oprócz nas trzech jedzie już z portu genueńskiego pan Zaleski z żoną, udając się w charakterze radcy ambasady do Tokio. Bardzo on miły i sympatyczny, odwiedza nas często i my jego, choć nieprzebyta między nami przepaść, gdyż on jedzie klasą pierwszą a my drugą „ekonomiczną"; pochodzi on z rodziny niedawno zmarłego patriarchy-arcybiskupa Zaleskiego, słynnego w swym czasie misjonarza Indii. Zaś do naszej „ekonomicznej" wsiadło w Neapolu dwóch braci franciszkanów, udających się z Niepokalanowa polskiego do Niepokalanowa japońskiego Nagasaki. Są to dwaj młodzieńcy pełni życia i werwy, br. Roch i br. Chryzostom. Pierwszy z nich,

to zawołany stolarz, cieśla, muzyk..., słowem sztukmistrz, jakich mało w Polsce. Drugi, z zawodu kucharz, spokojny i niepokaźny, robi bardzo dobre wrażenie na wszystkich. Tak więc towarzystwo jest dobre i liczne, jedziemy w jak najlepszym nastroju. Znajduje się na okręcie także piękna kaplica, gdzie od 21. X. odprawiamy codziennie mszę św. Dziwne to robi wrażenie, taka msza św. na okręcie. Nad nami lazurowy firmament nieba, pod nami zaś głębina nieraz do 5000 metrów, człowiek niejako zawieszony w powietrzu składa Bogu najszczytniejszą ofiarę. Piękne to i wzniosłe chwile.

Jesteśmy już daleko od Neapolu, mijamy buchający stale ognistą lawą Stromboli, przebijamy się szybko przez cieśninę mesyńską i wjeżdżamy niebawem na rozległe wody morza Śródziemnego. Słońce coraz bardziej przygrzewa. Obecnie już nawet i na pokładzie upały nieznośne, wszak znajdujemy się tuż obok równika.

Trzy dni trwała podróż z Neapolu do Port Said. Ciekawy można było zaobserwować szczegół na okręcie, jak to pasażerowie powoli zrzucają z siebie zbędne garderoby, by chronić się przed wzrastającymi stale upałami, a obecnie już tylko to minimum koniecznego na sobie noszą. Kiedy już byliśmy w Port Said w samym porcie, udaliśmy się następnie łodziami do samego miasta, oddalonego o jakie dwa kilometry od portu. Była to niedziela 24 października. Policjanci egipscy skrupulatnie przeszukiwali kieszenie pasażerów, nam jednak tej ceremonii zaoszczędzili, wierząc na słowo, że nie posiadamy ni pieniędzy ni broni palnej. Miasto samo dość wielkie i nowoczesne, nic specjalnego nie przedstawia. Ciekawsi natomiast są jego mieszkańcy. Zaraz przy wyjściu z łodzi rzucili się w naszą stronę, pokazują różne przedmioty na sprzedaż, ofiarują się za przewodników, a inni wprost już nahalnie proszą o „bakszisz" (centy). Daliśmy sobie z nimi łatwo radę. Odpowiadałem im po polsku różnymi zwrotami (płoco mi to, ni mom pieniędzy, daj Boże zdrowie itd.), popatrzyli się... i poszli dalej. Ale na ich miejsce coraz to nowi nas nagabują, nie mamy tu co robić, więc wracamy do naszego okrętu, zaopatrzywszy się wpierw jeszcze w kaski (kapelusze tropikalne), które miały według pierwszej ceny kosztować po 35 lir sztuka, w końcu wystarczyło 10-15 lir. W porcie, naokoło okrętu znowu ciekawe widowisko: najpierw liczni handlarze krzyczą z łodzi naładowanych towarem w stronę okrętu i próbują handlu, co im się dość dobrze udawało. Tuż obok tych łodzi znajdowali się we wodzie liczni pływacy i z całej siły gardła „proszą" pasażerów, by im rzucili jakąś monetę do wody, którą oni znajdą i oczywiście schowają. Ciekawe to widowisko trwało jeszcze kilka

godzin, a w chwili, kiedy statek już ruszał, zjawił się jakiś nagus na pokładzie i prosił o bakszisz, a wzamian za to on skoczy z najwyższego pokładu (około 20 metrów) do morza. Zebrał dość liczną kwotę, wszyscy spoglądają na pokład, by zobaczyć ten rekordowy skok, ale daremnie..., bo jegomość nasz zeszedł na sam spód okrętu i wskoczył do stojącej obok łodzi...

W Port Said przybyło dużo nowych pasażerów, między nimi także atleci z różnych krajów Europy, udający się do Bombaju na występy. Jeden z nich szczególnie się z nami zaprzyjaźnił i choć protestant-niemiec, prawie stale z nami przebywał i rozmawiał o kwestiach religijnych. Nosił on w pugilaresie medalik, który już dość dawno otrzymał od swego przyjaciela katolika, a na pożegnanie dałem mu poświęcony różaniec, który z wielką czcią wziął do ręki, pocałował krzyżyk i poprosił o podanie sposobu odmawiania różańca. Zapewnił mnie, że i po 10 latach, gdybyśmy się spotkali, on mi ten różaniec pokaże. Dobry to człowiek i mam nadzieję, że Bóg mu swej łaski nie odmówi. Przez kanał Sueski jechaliśmy dość długo, gdyż szybkość jazdy nie może przekraczać 12 klm. na godzinę, a w jednym miejscu musieliśmy czekać ponad dwie godziny, aż 7 innych okrętów nas minęło. Widokiem tego kanału byliśmy wszyscy nieco rozczarowani, tyle się o nim słyszało i czytało, a to nic znowu tak wielkiego, szerokość jego nie przekracza 100 metrów, pełen mułu i brudu, tak że okręty nieraz grzęzną w błocie.

Życie na okręcie nabiera coraz to wyraźniejszych form, wszyscy się już znają, gwarzą chętnie między sobą i opowiadają ciekawe rzeczy o swym kraju, — jedni tylko Hindusi trzymają się zdala od Europejczyków i w ogóle od wszystkich białych, tak samo i Chińczycy dość zwartą tworzą grupę. My jednak z Chińczykami przestajemy często, rozmawiamy niemało i wypytujemy o Chinach. Oni nas zapewniają o gościnności chińskiej i zapraszają do siebie. Większą część dnia spędzają pasażerowie na pokładzie i złożyło się tak, że my księża i Chińczycy jesteśmy na jednej części pokładu razem, nazywamy ten zakątek „klerykalno-chińskim“.

Z kanału Sueskiego wyjechaliśmy w nocy 24 na 25 na morze Czerwone. Ogromne zaczęły się tu upały, termometr podskoczył w kabinie na 32 Cels. Pociliśmy się co niemiara, ledwie człowiek oddychał. Mijamy już półwysep Synajski, widać jeszcze na nim łańcuch gór, a między nimi dominującą górę Synai, wszystko to znika nam szybko z przed oczu, stale jedziemy naprzód i naprzód. Minęło znów kilka dni jednostajnego życia na statku, stale tylko widzimy olbrzymie masy wody, aż wreszcie po czterech dniach, dnia 27. X. stanęliśmy w porcie Massaua w Abisynii.

Tu wysiadła ogromna ilość włoskich kolonistów i robotników, szukających chleba w nowozdobytym kraju Negusa. Z pasażerów udających się w dalszą podróż nie wolno było nikomu wysiąść, niedługo też trwał postój, załadowano tylko nieco paliwa dla maszyn i żołądków i znowu naprzód. Do następnego portu w Aden podróż trwała tylko jeden dzień, a więc 28. X. przed południem byliśmy w Adenie. Tu już wolno nam było wysiąść, więc oczywiście i my skorzystaliśmy z tej sposobności. Dziwny to kawałek ziemi, ten Aden. Z daleka już widzimy gołe skały, ani odrobiny zieleni na górach, nic tu nie rośnie, ostatni deszcz spadł tu w r. 1928. Żywność i nawet wodę do picia, sprowadzają tu z Indyj. Bardzo więc wszystko drogie, o ile wogóle coś można dostać. Wszędzie na ulicach nędza i biedota, dzieci i starsi wyciągają ręce po jałmużnę, słychać tylko słowo „bakszisz". Jest tu i kościół katolicki, obsługiwany przez kapucynów włoskich; byliśmy także u nich, ugościli nas serdecznie. Po krótkim postoju ruszamy znów w dalszą drogę do Bombaju, gdzie mamy przybyć w dzień Wszystkich Świętych. Wjeżdżamy już teraz na pełne morze, na Ocean Indyjski. Nadzwyczaj on spokojny, okręt ani nie drgnie. Życie płynie swoim torem zwykłym, ukazujące się od czasu do czasu delfiny na powierzchni morza urozmaicają nam widok. Już rano dnia 1 listopada powstaje na okręcie wielki ruch; wielka ilość Hindusów i innych pasażerów przygotowuje się do wysiadania w Bombaju. Zapowiedziany przyjazd do Bombaju na godz. 8.30 rano uległ znacznemu opóźnieniu, dopiero po g. 10 wjechaliśmy do portu. Powstaje na statku ścisk i tłok, każdy chce się pierwszy wydostać na ląd. Po dość długim czasie wydostaliśmy się także i my. Panuje ogromny upał i żar nieznośny, słońce w niemożliwy sposób przypieka. Wyszedłszy na miasto, kręcimy się jakiś czas po ulicach i przyglądamy się życiu. Bardzo tu ciekawe kontrasty ze sobą zmieszane. Miasto olbrzymie (liczy półtora miliona), ulice długie i wspaniałe, gmachy z wielkim przepychem budowane, pomniki, ogrody, przeróżne drzewa, palmy i kwiaty upiększają wygląd miasta. Ale na tych właśnie ulicach, obok dumnie autami jeżdżących Anglików, gnieździ się cała bieda i nędza ludu hinduskiego, tak niemiłosiernie gnębionego przez władców Anglików. Widać więc dzieci nagie, kobiety z niemowlętami żebrzące jakiejś jałmużny u przechodniów, zwłaszcza obcokrajowców; na ulicach siedzą także cyruliki, dokonywując licznych operacyj i zabiegów „lekarskich", gdzieindziej znowu Hindusi brudni siedzą wśród jarzyn i artykułów żywnościowych i dokonywują sprzedaży tychże. Znużeni już mocno i przepoceni udaliśmy się potem do klasztoru ojców salezjanów, gdzie wielka

ilość naszych współpasażerów smacznie spożywała już obiad. Zaraz i my przyłączyliśmy się do nich i chyba od wyjazdu z Genui nie smakował nam obiad tak, jak właśnie u ojców Salezjanów w Bombaju. Wśród ojców, zatrudnionych przeważnie pracą około młodzieży znajduje się także i jeden Polak, o. Dehlert, rodem z Warmii. Porozmawialiśmy sobie z nim po polsku i bardzo się on ucieszył naszym przybyciem. Po południu urządzili nam ojcowie piękną przejażdżkę autobusem po mieście, ugościli następnie jeszcze podwieczorkiem i odwieźli taksówką do portu. Trzeba się było spieszyć, bo już za pół godziny odjazd. Siadamy na statek, patrzymy jeszcze z pokładu na miasto i punktualnie o piątej ruszają się śruby okrętu, syrena daje znak do odjazdu. Niestety, okręt pracuje z całej siły, małe piloty (parowce) ciągną z całej siły, ale majestatyczny Conte Biancamano ani nie myśli ruszyć z miejsca. W czasie postoju nastąpił odpływ morza, statek nasz opadł aż do dna i nie mógł wyjechać z portu. Chcąc nie chcąc musieliśmy jeszcze trzy godziny poczekać, aż nastąpił przypływ morza, dopiero o godz. 8 nastąpił odjazd. W czasie przymusowego czekania rozmawiałem dłuższą chwilę z primo cameriere i dowiedziałem się od niego ciekawych rzeczy o podróży naszego statku. I tak mówił mi on, że na przejazd przez kanał Sueski musiano zapłacić małą kwotę 700.000 lir włoskich, płatne z góry; cały zaś przejazd okrętu z Genui do Szanghaju i z powrotem kosztuje ponad 4 miliony lir, — we wszystkich portach kupuje okręt olbrzymie zapasy paliwa (nafta), wodę do picia, żywność dla pasażerów. Sama zaś obsługa naszego statku liczy ponad 480 osób. Rozmawiamy jeszcze długo o różnych rzeczach, a kiedy okręt ruszył, udajemy się do kabiny i odmawiamy wspólnie różaniec. Warunki na okręcie składają się w ten sposób, że prawie zawsze mówimy brewiarz wspólnie wraz z cząstką różańca. Czasu na to wszystko jest dosyć. Kiedy już nadchodzi czas spoczynku, okręt nasz naczyna się lekko chwiać, to na prawo, to na lewo i coraz lepsza zaczyna się huśtawka. Przypominają mi się dość niemiłe chwile pierwszej naszej kołysanki na morzu Śródziemnym. Położyliśmy się szybko do łóżek i tak ukołysani, zasnęliśmy snem twardym. Rano już morze było spokojne. Jedziemy znów kilka dni, najpierw wzdłuż Indii, a następnie tuż obok Ceylonu, aż w środę 4. XI. stanęliśmy wieczorem o godz. 10 w Colombo. Każdy ciekawy choć coś zobaczyć z tego miasta, o którym tyle się słyszało, więc mimo późnej pory udajemy się motorówkami na ląd. Komenda okrętu zapewniła nas na statku, że przewóz na ląd będzie gratisowy, więc też bez namysłu siadamy do motorówki, która stała pierwsza. Jak się okazało, wsiedliśmy do motorówki prywatnej

i chcąc nie chcąc trzeba było za przewóz zapłacić. Mimo późnej pory, na mieście jeszcze ruch niemały. Ledwie uszliśmy kawałek ulicą, a obok nas zjawia się wielka ilość riksz (są to wózki na kołach gumowych i dwóch dyszlach, do których zaprzęga się taki Hindus i za jednego rupi wiezie gościa, jeden rupi wynosi około 2 złp), każdy krzyczy i poleca swoją rikszę jako najlepszą, naliczyłem wokoło nas takich riksz aż 52, a nas było wszystkich razem 8 osób. Rozmawiamy więc z tymi „fiakierami", oczywiście znowu po polsku a la Port Said, ale i to nie pomaga, nie możemy się tych natrętów pozbyć. Zawracamy więc w powrotną drogę, ale cóż, oni znowu za nami, kilku z nich woła do nas: I am Antoni, catholic itd.; wybawili nas z tej niemiłej sytuacji oficerowie włoscy, jadący z nami, którzy przypadkiem nadeszli, a nasi Hindusi, widząc, że z nami nic nie mogą wskórać, puścili się hurmą za nimi, czym nas bardzo uradowali. Następnie przeszliśmy jeszcze kilka ulic miasta, dochodziła godz. 12 w nocy, więc zbieramy się w stronę portu i okrętu naszego, który ma odjechać o godzinie 2 po północy: Po drodze napiliśmy się jeszcze lemoniady u jakiegoś szewca, byliśmy bowiem strasznie spragnieni. W porcie uważaliśmy już teraz, by siąść na motorówkę właściwą, należącą do naszego towarzystwa Lloyd Triestino. Przypomniało mi się na krótko przed odjazdem motorówki, że zapomniałem u tego szewca mego parasola, pędzę więc, ale niestety już było zamknięte, i ten mój parasol, pamiątka jeszcze z Fryburga pozostał w Colombo. Wziąłem go na ląd, ponieważ przy przyjeździe padał deszcz, i biedny ten mój towarzysz długoletni wpadł w ręce Hindusów, ale trudno, dobrze, że przynajmniej myśmy się jakoś dostali na statek. Zaraz położyliśmy się do łóżka i rano byliśmy już daleko od Colombo, i do tej pory jeszcze jedziemy.

Dnia 7 listopada, godz. 2-ga po poł. — Wczoraj wieczorem przeszła przez cały okręt lotem błyskawicy wiadomość, że jeden marynarz nagle zmarł. Różni różnie wiadomość tę przyjęli, ale trudno, jeżeli płynie tu ponad 1000 osób, to i taki wypadek nic nadzwyczajnego. Ciało jego dziś zabalsamowano i ulokowano w naprędce zrobionej trumnie w infirmerii trzeciej klasy. Dziś po obiedzie odmówiliśmy wszyscy księża i zakonnice przy zwłokach wspólnie różaniec. W tej chwili jesteśmy już tylko o jakie 150 klm. od Singapore, powoli już się wszyscy przygotowują, by choć na chwilę wypaść na ląd. Tyle na dziś tej mojej niedołężnej bazgraniny, z Hong Kongu napiszę znowu kilka słów.

Polecamy się wszyscy trzej łaskawej pamięci w modlitwach, by Bóg naszą wyprawę wspierał swoim błogosławieństwem.

O. Sadok Maćkowiak, dominikanin

ZŁOTE MYŚLI

DOBRA RADA

W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi.
W jakim? Gdy się pokora u mądrości radzi. A. Mickiewicz

BOŻE NARODZENIE

Wierzysz, że się Bóg zrodził w betlejemskim żłobie.
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie. A. Mickiewicz

Człowiek namiętnościami opanowany ma tyle panów, ile występków, bo każdy występek woła: jam jest panem twoim bo mi służysz i ulegasz. Św. Augustyn

OJCIEC DZIECKA

Błogosławieństwo ojca twą gwiazdą zostanie,
A najdroższym klejnotem, gdy zasłużysz na nie. A. Fredro

Kto nie chce siać — ten i zbierać nie będzie. H. Sienkiewicz

Nie patrz, czy skończysz, ciągle rób,
Ciebie nie dzieło — czeka grób.
Dłużej tu dzieła niźli nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas. K. Brodziński

Najszlachetniejszy brylant jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje.
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż drugich zadraśnie. Asnyk

Mówim w pacierzu: daj nam powszedniego chleba,
Dla głodnej duszy naszej pokarmu też trzeba. Bp Krasiński

Własne cierpienia uczą, że nikomu nie trzeba robić przykrości.
B. Prus

Szczerość winna być podstawą ludzkich stosunków. B. Prus

Z kosza redakcyjnego

Do kosza nadają się następujące utwory:

I. WIERSZ.

„Na skrzydłach fantazji
Wleciałem w poezję
Rozmażony byłem
Gdy w sobie odkryłem
Jakieś dziwne melodie itd. itd."

Niestety musiały one iść do kosza...

II. ARTYKUŁ.

Moje pierwsze wrażenia. (Cytujemy wyjątki):

„Przyjechawszy po raz pierwszy do Internatu rozmieściwszy wszystkie moje rzeczy na półkach, ucieszyłem się, że mam łóżko na sprężynach... Zbudzony ze snu zasmuciłem się, że tak prędko trzeba wstawać, gdyż skierowawszy swój wzrok na zegar zobaczyłem tam ze wzruszeniem szóstą godzinę rano. Ale widząc kolegów, którzy z rannym brzaskiem szybko się ubierają zacząłem także się ubierać..." itd. itd., aż wszystko znalazło się w koszu, który zresztą jest dyskretny, bo wcale nie zdradzi autora, ani jego błędów ortograficznych i innych.

III. ROZWAŻANIE.

Gdybym był profesorem nie potrzebowałbym się uczyć...

IV. WYPRACOWANIE.

O historii i pożytkach piłki nożnej. (To w całości ocaliliśmy z kosza):

„Gra w piłkę nożną jest najstarszą na świecie, albowiem na pomnikach egipskich odkryto, że w piłkę nożną grali starożytni Egipcjanie i symbolem tego był Skarabeusz popychający przed sobą piłkę.

Grecy także nie byli bez tego, ażeby nie zaznajomić się z tą szlachetną grą, a i Rzymianie naród wojowniczy ćwiczyli się w kopaniu piłki.

Gra w piłkę leży we krwi ludzkości. Dziecko jak tylko nauczy się chodzić, gdy zobaczy coś okrągłego zaraz to usiłuje z zachwytem... kopnąć. Później gdy człowiek dorasta, zaczyna kopać nogami grudy, śnieg, błoto itp. rzeczy. Wreszcie, gdy dojdzie do używania swego rozumu, wówczas to zaczyna kopać prawdziwą, okrągłą, nadętą, dźwięczącą, skaczącą, piłkę nożną. Do tej gry trzeba mieć dużo rozumu — dlatego grają ją tylko chłopcy, trzeba mieć dużo odwagi — dlatego „cherlaki" stoją zawsze za bramką. — Trzeba mieć także niezłomną wolę kopnięcia w piłkę a nie w piłkarza, w bramkę a nie w słupek. Podczas tej gry rozwijają się struny głosowe, bo trzeba krzyczeć na sędziego i towarzyszy. Rozwijają się także muskuły i rozrastają się nogi, mózg natomiast nie funkcjonuje, — bo i poco?, a także ulatują się z pamięci wszelkie wkówania szkolne, jako, że pamięć zanadto się skupia na jednej rzeczy okrągłej tj. na piłce i jest rzeczą dowiedzioną przez wszelkie konferencje klasyfikacyjne, że słabość w tej szlachetnej grze u młodzieży studiującej idzie w parze z potężną ilością przezacnych dwój. Ta gra jest grą nie tylko teraźniejszych lecz i przyszłych pokoleń. Wkrótce wszystkie rynki we wielkich i małych miastach zamienią się w boiska piłki nożnej, a także będzie można grywać na korytarzach przeróżnych szkół. Trzebaby jednak wprowadzić okna kauczukowe i postawić dwie bramki".

— — — — — — — — — —

Poza tym kosz nasz jest wypełniony przeróżnymi artykułami na temat wychowania. Jest jeden arcyciekawy artykuł w koszu o zadaniach nowoczesnej poezji „żeby wiersze były krótkie, łatwe do spamiętania", oraz kilka artykułów na tematy polityczne i obrony przeciwgazowej...

ZŁOTE MYŚLI

Stokroć jest łatwiej przyganiać drugiemu,
Niźli co zrobić samemu. J. U. Niemcewicz

Dzisiaj jest twoje — jutro, kto wie czyje...
Kto o tym pamięta — ten poczciwie żyje. St. Jachowicz

Rozrywki umysłowe

SZARADA

Francuz ma, Niemiec nie,
Prorok też ma, nawet dwie.
W garnku jest, w szklance brak,
Ma ją ryba, nie ma ptak.
Nie ma kula lecz ma bryła,
Łatwo znaleźć, choć się skryła...?

WIZYTÓWKA

R. PAISZ

Jaki jest zawód tego pana?

(uł. *Tomczyk Jan* kl. III „b")